

Ryszard Kosiński

„Maliniarz” czyli współczesny Rewizor

Przęd kilku dniami szła w telewizji katowickiej sztuka Töllera „Wyzwolenie Wotana”. Rzecz na pewno szlachetna w intencjach politycznych i ideowych, tyle, że odkurzona w kilkadziesiąt lat po jej napisaniu, okozala się właśnie w tej warstwie pojęciowej zwietrzała. Jej problematyka dotyczyła niespokojnych czasów przedhitlerowskich w Niemczech, owego burzliwego okresu naladowanego namiętnościami politycznymi, rozdzieranego kryzysem gospodarczym, wyrzucającego co chwila na powierzchnię zdarzeń megalomańskich tandadatów na wodzów. W krakowskim Teatrze Rozmaitości mamy natomiast spodobność obejrzenia innej karty historii niemieckiej, historii współczesnej, a rozgrywa się w kręgu tak zwanych pogrobowców hitleryzmu, dobrego towarzystwa drani i ezbrodniarzy, którzy wspominając lata własnej nazistowskiej chwały, mają się dalej nader dobrze. Ta sztuka zatytułowana „Maliniarz” wyszła spod pióra Fritza Hochwäldera.

Wolę tego „Maliniarza” niż stare „Wyzwolenie Wotana”. Jest on zrodzony z inspiracji gogolowskiego „Rewizora” — nie pierwszy zresztą i nie ostatni — z bardzo wyraźnymi zapożyczeniami kompozycyjnymi. Jest więc i Horodniczy w postaci Konrada Steishaupta, a wokół nie-

go kręcący się salon z panami Bobczyńskim i Dobczyńskim, czyli Heuttem i Schwojsem, z politykami, podejrzanymi kelnerami — jagasami, naerotyżowaną córeczką, jest więc atmosfera intrygi, zawzięci i lapownictwa. I — rzecz jasna — Chlestakow. W wersji Hochwäldera jego rolę spełnia kaszacz-włamywacz, który wystawia bez własnej właściwej winy całe towarzystwo do wiatra, w końcu jednak nie zwiewa z pola walki, jak jego rosyjski archetyp, lecz oddaje się w ręce sprawiedliwości, nie chcąc mieć nic wspólnego z bandą byłych hitlerowców. Bohater jak z ludowej ballady wlicznej, która różniła honorowych złodziejasków od koltuńskich skłepikarzy i burżujów. Cała ta historia, poprowadzona z groteskowym zacięciem, stwarza pojętny nawet materiał teatralny.

Autór opracił ją przewrotnie w ramki arcy-niemieckiej „ludowości”, tych stłodziutkich i wygodnych pomieszczeń gospód mieszczkańskich — z pozytywkami, rogami jelętnymi, kminkówką na bufecie i makatkami na ścianach, no i — rzecz jasna

— z opasłymi przykami ubranymi w kuse zamusowe spodenki i tyrolskie kapelusze. Oczywiście za oknami stoją błyszczące mercedesy, w bufecie, poza kminkówką, migają butelki „Cinzano” i „Białego konia”, bo przecież znajdujemy się w latach cudu gospodarczego NRF i znakomitej prosperity także i byłych hitlerowców.

Scenograf Jerzy Jeleński sporządził dekoracje czytelne i czyste, ta gospoda jest rzeczywiście arcy-niemiecką gospodą, wiemy od razu, gdzie się znajdujemy, nie ma żadnej fuchy. Kiedy idzie kurtyna do góry, jesteśmy najlepszej myśli. Bo przecież wybór sztuki jest nienajgorszy, materiał literacki również, a scenografia zyczliwie widza usposabia. Kłopoty jednak zaczynają się później.

Otóż nastąpiło, jak mi się wydaje, zderzenie, niefortunne zderzenie groteskowych propozycji tekstu z reżyserską stylizacją przedstawienia, która ów gatunek zdemontowała do rozmiarów wykraczających i poza same prawa tego gatunku, jak i przyzwolenie, jakie w tej mie-

rze daje reżyserowi tekst literacki. Komiczno-tragiczne elementy groteski zostały w tym spektaklu wymienione, niestety, na tanią krzykliwość.

Halina Gryglaszewska jest doświadczonej reżyserem i wytrawną aktorką, nie rozegrała jednak tym razem we właściwy sposób sztuki i problemu politycznego, jaki ta sztuka niesie. Problemu jakże jadowicie groźnego, bo przecie dotykającego nie tylko byłych hitlerowców, lecz i całej atmosfery politycznej i psychologicznej zachodnich Niemiec, w przedstawieniu sprowadzonej do clownady.

A w ogóle to powiedziałbym — już poza okazją jaką dają Rozmaitości — że temat niemiecki, mimo że tak niby łatwy, jest jednak szalenie trudny. Emocje — emocjami, pozostaje przecież jeszcze zasadniczy obszar intelektualnego drążenia współczesności NRF i historii III Rzeszy. Do tej gry winni się zabierać gracze najwyższych lotów, gdyż niedostatkami artystycznymi można przegrać najstłusznieszczą sprawę. Trudno mi sobie na przykład wy-

obrazić „Namiestnika” w realizacji jakiegoś młodego zespołu teatralnego. A i z emocjami też liczyć się trzeba, przede wszystkim jednak młodego pokolenia.

Byłem na przedstawieniu w Rozmaitościach kiedy na widowni siedziała wycieczka uczniów licealnych. Ich reakcja na spektakl nie zaświadczała, iż wiele z intencji autora zrozumieli.

W tym przedstawieniu aktorsko panie są górą. Irena Orska i M. Rabczyńska, choć w niewielkich stosunkowo rolach, obramowały jakiś kontur postaci. Oczywiście, trudno nie pamiętać Gruszeckiego jako Burmistrza, ten utalentowany aktor ma tyle witalności, że rozszadza gospodę Pod Jagnięciem i owszem proponuje określony typ bohater, trudno także nie wspomnieć o Z. Romanie Maliniarzu — Chlestakowie z hiszpańskim wąskiem. W sumie jednak pragnąłbym bardzo napisać znacznie więcej o aktorach, ale — jak powiadają warszawiaci — nie daje się (uwaga, panie linotypisto, to ostatnie — to jest „sie”, a nie „się”).

Do zobaczenia więc na następnym spektaklu.

PS: Czy nie można było zmienić tytułu sztuki, który w swojej aktualnej wersji brzmi nader chałturowa?